

Liczy się suma doświadczeń — mówi Zofia Kucówna

— Po długiej nieobecności na ekranie zdecydowała się Pani wystąpić obecnie w nowym filmie Krzysztofa Zanussiiego pt. „Spirala”. Dlaczego dopiero teraz? Dlaczego tak długo nie?

— Odpowiedź na pierwsze pytanie jest bardzo prosta: bo Zanussi, bo mnie przekonał. A jeśli zdecydowałam się właśnie teraz, a nie wcześniej, to nie znaczy, żebym nie cenila innych reżyserów. Po prostu przedtem miałam więcej obowiązków, a znów tych propozycji filmowych wcale nie było tak dużo. Podobno nie jestem fotogeniczna.

— Przekonał Panią tylko reżyser, czy także rola?

— W tym filmie wszystkie postaci podporządkowane są głównej, którą kreuje Jan Nowicki. Moja rola — to lekarka, która interesuje się owym bohaterem trochę inaczej, bardziej zawodowo niż reszta towarzysza zgromadzonego w szpitalu górskim, gdzie rozgrywa się akcja filmu.

— Amerykańska aktorka Joanne Woodward, zapytana w wywiadzie (opinie) te cytuję w swojej książce Marshall McLuhan), czy widzi różnicę między grą w filmie i występem w telewizji? odpowiedziała: „Kiedy grałam w filmach, ludzie na ulicy mówili o, to jest Joanne Woodward. Teraz mówią: szara, ja ją chyba skądś znam”. Potwierdza Pani to wrażenie?

— Oczywiście, to zupełnie zrozumiała reakcja. Sztuka w telewizji wchodząc do mieszkań traci swoją odświętność. Występując w telewizji przestaje być obcą osobą, staje się prawie sąsiadką. Sprzyja to utożsamianiu aktora z postacią kreowaną, znacznie wyraźniejszemu niż na scenie, czy na ekranie. Sztuka telewizyjna staje się mniej obowiązkująca, mniej atrakcyjna nawet, przybiera wymiar pantofli domowych. Ale to nie znaczy, że nie lubię grać w telewizji, przeciwnie. Telewizja poza popularnością i sympatią widzów daje możliwość kontaktu z kolegami z innych teatrów, co przy naszym zamknięciu w sta-

łych zespołach jest ważne i pozytywne. To odswietlające i wzbogacające, o nowe doświadczenia, przyjaźnie, sprawy, a nawet plotki.

— Jednak i w telewizji występuje Pani ostatnio radziej, koncentrując się przede wszystkim na teatrze. To sprawa wyboru?

— Także wyboru. Każdy ma taki okres w początkach pracy zawodowej, gdy pozwala się maksymalnie eksploatować, chce być we wszystkim obecny. Potem przychodzi chwila, gdy zaczyna się cenić i inne sprawy — dom, odpoczynek, to pół godziny dla siebie. A poza tym, nie miałam aż tak wlewu i tak bardzo interesujących propozycji telewizyjnych. Ostatnio wystąpiłam w widowisku „Szaleństwo”, zrealizowanym przez Janusza Majewskiego, ale nie wiem, kiedy będzie ono emitowane.

— Czy spośród wielu i bardzo różnorodnych ról może Pani wyróżnić jedną, lub kilka i co na to wpływa: odmienność czy podobieństwo tych postaci do Pani?

— Sama nie wiem, jaka jestem, dlatego też trudno byłoby mi określić, w jakim stopniu podobna jest do mnie Panna Młoda czy pani Wasowska. Lubię wszystkie role, jakie grałam, nawet te, które „rozłożyłam”.

— ?

— Tak, były takie. Lubię je, ale się do nich nie przywiązuję, więcej nawet — bardzo szybko je zapominam, dlatego też byłoby mi ogromnie trudno wyróżnić którąś. Lepiej pamiętam zdarzenia związane z daną rolą, z przygotowaniem przedstawienia, niż samą postać, pracę nad nią. Być może, jest ta łatwa niepamięć rodzajem daru, pozwalającym mi na zachowanie dystansu wobec tego, co robię. Natomiast w samą pracę wkładam bardzo wiele wysiłku i można by ten proces tworzenia roli porównać do choroby. Gdy jednak minie cały szum związany z premierą, którego nienawidzę, wracam szyb-

ko do normy i już mogę się cieszyć, że jest wiosna, że przyjdzie lato, że będą wakacje. Angażując się w pracę, nie angażuję się w zawód. Lubię wszystko, co nie jest teatrem, lubię być kucharką, gosposią swego domu, ogrodniczką. Lubię dużo czytać, lubię leżuchować. I nie rozmawiać o teatrze.

— Ten zawód Pani jednak wybiera?

— A co człowiek wie o tym, co wybiera, znajdując się w zawężeniu? Dopiero gdy się w dany zawód wejdzie, poznaje się zarówno jego zalety, jak i niebezpieczeństwa. Gdybym miała jednak decydować po raz drugi, nie szukałabym niczego innego. Tego rodzaju wybory mają przynieść przecieć, i to jest najważniejsze, potwierdzenie nas, naszych możliwości, na społecznie płaszczyźnie działania. A ja dzięki zawodowi to swoje miejsce znalazłam. Ten zawód sprawił, że moje życie jest udane i nie jest wcale ważne, nie jeszcze ról sagram, czy wystąpię w filmie, czy w telewizji, ponieważ liczy się suma doświadczeń. Z moich — jestem zadowolona.

— Wydało o Pani książkę. Nie poczuła się Pani podsumowana, zasmuśdliowana?

— Nie, może dlatego że ani siebie, ani swojego miejsca w zawodzie nie traktuję tak szalenie serio. Mnie się ta książka podobała, mimo, a może i na przekór różnym zastrzeżeniom, że są dużo w niej prywatności. Nie mam nic do ukrycia i niczego się nie muszę wstydzić, a jeśli popełniałam w życiu swoim błędy, to myślę, że w tym samym procencie co inni.

— Mówiła Pani o potrzebie sprawdzania się w zawodzie na płaszczyźnie działalności społecznej. Owa działalność społeczna, pojęcia dosłownie, w Pani życiu odgrywa znaczną rolę?

— Jest taki moment, że oprócz zabiegania o własne interesy, karierę — chociaż to określenie u nas niepopularne — zaczyna się dostrzegać i angażować w sprawy innych. Pracuję w Komisji Opieki nad Domem Ak-

ra w Skolimowie. Sprawą podstawową, która wreszcie po wielu wysiłkach i zabiegach oczekuje się realizacji, jest bardzo już konieczny remont budynku. Zajmujemy się także zapewnieniem pensjonariuszom opieki lekarskiej, a dzięki kontaktom z dawnym szpitalem województwem jest ona rzeczywiście znakomita. Pomagamy w rozwiązywaniu różnych kłopotów, czasem konfliktów codziennych. Prowadzi tę komisję pani Ola Dmochowska, wspaniała organizatorka. Pracują w niej wyłącznie kobiety. To szalenie, że mężczyźni u nas ciągle czują powołanie wyłącznie do spraw transcendentnych.

— Odkrywając jak objawienie prawdy najprostsze...

— Płynące z nich refleksje. Dom w Skolimowie nastroja do refleksji na temat naszego środowiska, jego w gruncie rzeczy wielkiej solidarności. Jesteśmy jakby rodziną, do czego skłania charakter tego zawodu. Aktor nie liczy się bez zespołu, nie może pracować jak pisarz, czy malarz, zamknięty w czterech ścianach pokoju. Nasza praca jest odkryta i jest zespołowa. Stwarza dużo konfliktów, ale i rodzi się silniejsze więzi, których wyrazem zapewne jest ów Dom Aktora-Weterana, jakiego nie ma żadne ze środowisk artystycznych.

— Jak skomentowałyby Pani tegoroczne hasło Międzynarodowego Dnia Teatru, które brzmi „Teatr nie zna granic”?

— Jeżeli istotnie teatr nie zna granic, to niechże recenzenci przestaną mieć za złe rozdarze szaty — Szajale, motocykle — Hanuszkiewiczowi „Wesele” bez weselników — Grzegorzewskiemu. Niech przestaną wzorem ciętek na kanapie naganiać do rzemiosła, do konwencji, żeby nie, broń Boże, nie rozdrażnić, nie obrazić. A niech obraza i niech rozdrażnia, i jeżeli jedno na pięć przedstawień będzie poruszające, angażujące, to nie jest taka najgorsza proporcja i warto dla tego jednego puścić tamte w niepamięć, miast ustawicznie wypominać porażki. Za wiele jest w naszej krytyce małkontentwa. Teatr musi być żywy, a nie grzeczny, jeśli ma nie znać granic.

Rozmawiała:
MARGARETA DIPONT